

Geny dzikości

Kor stał na skale i spoglądał na niekończącą się zieleń drzew, które rozciągały się aż po fioletowy horyzont. Wschodziło słońce. Już od kilku dni wstawał przed świtem i chodził na szczyt skały patrząc na wspaniałą złocistą kulę, kolorowe obłoki i zielone morze.

- Co się dzieje? - usłyszał szept za plecami tak nagle, że aż się zerwał. Odwrócił się. Za nim stała Ina.
- Nic, nie mogę zasnąć. Mam takie dziwaczne sny.
- Chodź do mnie - szepnęła Ina i przytuliła się do niego.
- Będziesz mieć syna.
- A skąd ty to możesz wiedzieć? - zaśmiał się.
- Ech, mam dziwne sny - Ina wyciągnęła ręce i przytuliła Kora do siebie.

To było 30 tysięcy lat przed naszą erą, a Kor był młodym neandertalskim wodzem plemienia. Jego 350 członków poruszało się po wielkiej równinie między wysokimi skalistymi górami, które nazywali Tar, wapiennym szczytem Sir i wielką przełęczą Bor.



Fot. Dariusz Matusiak

Doskonale wyczulone zmysły i wielki mózg umożliwiły jego rodowi przeżycie 100 tysięcy lat, kilku zlodowaceń, okresów suszy i powodzi, braku zwierzyny. Zależnie od potrzeby przesuwali się z miejsca na miejsce, sypiali pod występami skalnymi, w jaskiniach albo tylko w zapadliskach. Byli stosunkowo niscy, ale bardzo umięśnieni, poruszali się z prędkością zwycięzcy olimpijskiego biegu na sto metrów.

Poznali tajemnicę ognia. Jego ciepło umożliwiało im przetrwanie w warunkach, w których teraz nie przeżyłby żaden człowiek. Pomimo wynalezienia ognia, ciągle jeszcze trwały tam elementy dzikości, w której doświadczali miłości i nienawiści. Nie wadzili się ze zwierzętami, które żyły dookoła, z orłami na niebie, nosorożcami na ziemi i jesiotrami w wodzie - byli częścią dzikiej przyrody.

- Wstawajcie, idziemy dalej - krzyknął Kor i postacie leżące dookoła tłące się ogniska zaczęły się z wolna podnosić. Ina szybko pozbierała kościane igły, które miała ułożone pod nawisem skalnym i włożyła je do torby. Ta mała skórzana torebka była czymś, na co w plemienu Kora nikt nie zwracał uwagi.

Ujrzeni ją po raz pierwszy obok Iny, gdy znaleźli nieprzytomną kobietę na brzegu rzeki Por. Ina była szczególną osobą. Wyższa niż inne kobiety, szczuplejsza, nieumięśniona i z mniejszą głową. Trzy lata minęły nim poznała ich język i kolejne dwa, zanim zbliżyła się do Kora.

Nauczyła inne kobiety obrabiać skórę lepiej niż umiały to do tej pory. Nauczyła je też wytwarzać nici z jelit zwierząt i zszywać nimi torebki. Zrobione przez siebie rzeczy mogli wreszcie wygodnie przenosić do nowych obozowisk. Tak, jak dzisiaj.

Kor i jego ludzie mieli przed sobą długą drogę. Muszą przejść ze skalistych gór Tar do przełęczy Bor. Zbliżała się wiosna i stada jeleni zaczęły się gromadzić na łąkach pod przełęczą Bor.

- Zaczekaj, nie wejdę tak szybko - dysząc, krzyknęła Ina do Kora. Kor, podobnie jak wszyscy wodzowie przed nim, szedł na czele całej grupy i wyznaczał kierunek oraz tempo marszu.
- Stop, przenocujemy tu, na skraju lasu - postanowił Kor. Wiedział, że znowu będzie przez trzy dni wysłuchiwać od mężczyźni, że Ina spowalnia całą grupę. Była słabsza od ich kobiet i od czasu do czasu były z tym problemy.
- Nie pojmuję, jak twój ród mógł w ogóle egzystować - często mówił pół żartem, pół serio do Iny.
- W naszym kraju nie ma lasów ani takich gór - zwykła odpowiadać Ina - po cóż by nam były wasze mięśnie?
- Nie tylko mięśnie, mózg też macie mniejszy.
- Przynajmniej nie żremy tyle, co wy.

I było po dyskusji.

Całą noc Kor przechadzał się tam i z powrotem i znów przed świtem stał na łące zwrócony na wschód, ku przełęczy Bor i czekał na słońce.

- Znowu te sny? - Ina objęła go od tyłu i wtuliła twarz w jego włosy.
- Hm, nie wiem, o co chodzi - Kor nawet się nie odwrócił i wciąż spoglądał na pomarańczową kulę - lepiej chodźmy obudzić naszych.

Na trzeci dzień dotarli w okolice przełęczy Bor. Rozbili się pod górą Sir. Był to ulubiony szczyt Kora ze wszystkich między Tar a Bor.

- Upiecz mi tego zająca - krzyknął do Iny - niedługo wrócę.
- Dokąd idziesz?
- W góry, na Sir. Przejdę się, może łatwiej będzie mi zasnąć - ostatnich słów Ina nie mogła już usłyszeć. Kor szybciej chodził niż mówił.

Na górze Kor był na czas. Słońce nie zaszło jeszcze za skaliste szczyty Tar. Zwrócił się w kierunku Bor. Odgarnął czarne włosy i westchnął.

- To piękne.

I zaraz potem to ujrzał.

Nad lasem koło rzeki Por, dym kroczył ku ciemniejącemu niebu. I słychać było jakiś głuchy huk. Kora zmroziło. Znał ten huk ze swych ostatnich snów.

W tę noc Ina śniła o ich synu. Korowi nic się nie śniło. Nie spał. Bał się zasnąć. Rano zwołał dziesięć osób ze swojego plemienia.

- Idziemy do Por. Kobiety i dzieci zostaną, jest tu co robić.

- Uważaj na siebie - Ina nie zdawała sobie sprawy, że używa zwrotu typowego dla kobiet dziesiątki tysięcy lat przed nią i sto tysięcy lat po niej.

Droga zajęła mężczyznom dziesięć godzin. Poruszać się w lesie pełnym bagien i mokradeł nie było łatwo, mimo że Kor i jego ludzie chodzili tą drogą już tysiące razy. Często spotykali tu Boga Lasu, jak nazywali wilka i Grubą Chmurę, jak nazywali niedźwiedzia. Tego typu spotkania kończyły się w zasadzie bez problemów.



Fot. Katarzyna Mular

- Jeśli zachowasz spokój, będziesz miał spokój - zwykł mawiać Kor.
- Jesteśmy już prawie na miejscu. Słyszycie ten hałas?

Położyli się na ziemi i przez kilka minut czołgali w kierunku źródła hałasu.

- Stójcie - Kor powoli rozchylił paprocie, które zasłaniały mu widok.

Zdębiał. Przed oczami ukazała się polana, której tu przed miesiącem jeszcze nie było. Stały tam jakieś dziwne budynki zbudowane ze ściętych drzew. W drewnianych zagrodach kwiczały jakieś dziwaczne zwierzęta, podobne do ich dzików, ale całkiem łyse i z jasną skórą.

Najdziwniejsi byli ludzie. Nigdy takich dawniej nie widzieli. Mniejsza głowa, chudsi, ale trochę wyżsi i z bielszą skórą.

- To plemię, z którego przyszła Ina.

Kilku mężczyzn z dziwnymi narzędziami w rękach uderzało w drzewa.

Grupa Kora wracała do obozowiska znacznie wolniej niż poprzedniego dnia szła na zwiady.

- Zabijmy ich, będzie spokój - to było najczęstsze zdanie, nad którym grupa się zastanawiała i zaczynała się ostra kłótnia.

Nie pojmowali dlaczego, ale bali się. Był to typowy strach zwierzęcia przed intruzem wkraczającym na jego terytorium.

- Nie wiem, czy zabicie ich jest dobrym pomysłem, może moglibyśmy dojść z nimi do porozumienia - mówił Kor - przecież i Ina jest od nich. W ten sposób kończył kłótnie.

W obozie przeżyli szok. Ognisko było rozrzucone, a na trawie leżały martwe ciała ich kobiet i dzieci.

- Biali chudzi ludzie - żona szamana z trudem przełknęła i złapała oddech - Inę zabrali ze so...
- zdania już nie dokończyła, a duch opuścił ją wraz ze wszystkimi przodkami, Bogami Lasów i Grubymi Chmurami.

Przez dwa dni ludzie Kora chowali swoich zmarłych. Dwie noce dźwięczały pod Sirem dzikie śpiewy, od których dreszcze przebiegały po plecach.

Na trzeci dzień poszli z powrotem do Białych. Walka w ich obozie była krótka i definitywna. Mocny szkielet i mięśnie ludzi Kora nie pozostawiły białym przybłędom żadnych szans. Iny jednak nie znaleźli. Było to inne Białe plemię.

W tę noc po walce Kor powierzył przywództwo nad plemieniem Charowi. Był to najlepszy kandydat na wodza. Silny, ale równocześnie z przenikliwym wzrokiem i bystrym umysłem.

- Wiem, że nie przyniesiesz mi wstydu - powiedział Kor, kiedy kładł swoją głowę obok głowy Chara na znak pożegnania. Char uśmiechnął się, nic nie mówiąc.

Całą noc szedł Kor w stronę Białego źródła. Szczególne miejsce przy górach Tar zawsze służyło mu pomocą w rozwiązywaniu życiowych problemów. Tu postanowił, że Ina zostanie jego kobietą, tu postanowił przyjąć wyzwanie bycia wodzem plemienia i tu podązał teraz. Księżyc w pełni oświetlał granitowe szczyty Tar wystrzelone z doliny rzeki Por jak białe strzały. Bardzo blisko pod nimi było czarodziejskie Białe źródło. Szary kopiec, z którego tryskała woda, była tu od tysięcy lat, gdy żyli przodkowie Kora.

Był to niezwykle widok. Olbrzymie pasmo górskie wyrzucone z równiny wprost na jasne nocne niebo, biały krąg księżyca raz po raz zakrywały obłoki, a na pierwszym planie stał silny były wódz plemienia istot, które te ziemie zamieszkiwały od dziesiątków tysięcy lat. Przed wielkimi górami wyglądał sam jak Bóg Ziemi. Zaryczał. Długo, bardzo długo spoglądał na Białe źródło, aż zaczęły mu się w głowie przedstawiać zarysy snów, które trapiły go przez ostatnie tygodnie.

Zamknął oczy i zaczęły się przed nim ukazywać jeden sen za drugim. Widział, jak Biali ludzie zabijają jego braci i siostry, widział, jak dziwnymi narzędziami rąbią prastare lasy między Por i Bor tak, że pozostała równina bez drzew, widział jak Biali ludzie wybudowali na Sirze ogromny biały dom, a przez Bor poprowadzili drogę, a potem przez całą górę przewiercili wielki otwór. Widział wielki ogień i pożary, widział gigantyczne walki i miliony martwych, widział zanik Boga Lasu i Grubej Chmury.

Widział Tar pokryty domami i dziwnymi urządzeniami z linami, które wyciągały Białych ludzi na szczyty gór, by potem ślizgali się bez sensu na dół. Widział góry koło Tar całkowicie ogołoczone z drzew i pełne wojowników z ogniowymi strzałami.

Stał nad wodą, długo myślał, a potem skoczył. Kres *homo sapiens neanderthalis*¹ rozpoczął się.

Są lata 60. XX wieku². W powiatowym mieście Poprad w miejscowym muzeum słyhać afektowany, piskliwy głos.

- Nie dotykać tego! Bądźcie cicho! Zachowujecie się jak neandertalczyki! - krzyczała na piętnastoletnie, niemal dorosłe dzieci gruba nerwowa nauczycielka z wielkim kokiem na głowie.
- Spójrzcie - jej głos aż załamywał się ze wzruszenia - to jest mózg małpy, która tu żyła zanim przyszedli na tę ziemię przyzwoici i porządni ludzie.
- Znaleźli ją w 1926 roku w kopcu koło Ganowiec niedaleko Popradu - recytowała bez zastanowienia wyuczoną formułkę.
- Do tych Ganowiec pojedziemy po południu naszym autobusem, rozumiesz Kornian? - spojrzała z wyrzutem na niewysokiego śniadego chłopca, którego z powodu krótkich nóg koledzy z klasy przezywali Gibon.

Peter Kornian alias Gibon zasłużył sobie na naganę za zbyt wolne zwiedzanie muzeum. Zamiast tego, by za chichotem koleżanek pędzić do wyjścia, pomału czytał napisy pod eksponatami i zatrzymywał dwie kolejne klasy, które przyjechały tu na trzydniową wycieczkę.

Peter był szczególnym chłopcem. Od szóstego roku życia włączył się po górach w okolicach jego rodzinnych Medzilaborec. Od trzynastego roku życia całe weekendy spędzał w pobliskich lasach jodłowo-bukowych, nocując tam. Nie znosił spania w zamkniętych przestrzeniach i przegrzanych budynkach. Wolał chłód i gwiazdne niebo nad głową. Teraz też miał ze sobą koc i śpiwór z watoliny. Chciał i dziś wieczorem spoglądać na niebo, a przede wszystkim wyspać się. Przeczynał, jak będzie wyglądać noc w rozpadającym się baraku. Przez ostatnie tygodnie nie mógł dobrze spać. Miał jakieś dziwne sny, z których rano, gdy budził się zlany potem, prawie nic nie pamiętał.

Z baraku do stromej góry było dwieście metrów.

- Żeby cię tam wilki nie zżarły - śmiała się wieczorem nauczycielka, której humor zdecydowanie polepszyło tanie czerwone wino, przezornie kupione jej przez dwóch wychowawców pozostałych klas. Dokładnie tak, jak radzili ich poprzednicy.

Peter rozłożył pod górką koc i śpiwór.

Nad Braniskiem pojawił się księżyc. Był ciepły czerwcowy wieczór, pełnia.

Kiedy zaczął się wspinać na górkę, na kempingu koledzy smarowali kłamki pastą do zębów, a dwie nad wiek rozwinięte koleżanki zabrały się za współpracę z wychowawcami w kwestii dziewictwa. Przez okno, na zieloną trawę, kolega Gibona z ławki głośno zwrócił zawartość kolacji. Księżyc w pełni oświetlał granitowe szczyty Tatr Wysokich wystrzelające jak białe strzały z doliny, którą wyżłobiła rzeka Poprad.

Z domku wyglądała w kierunku góry blondynka Ivana, platoniczna miłość Petra. Platoniczna, ponieważ marzyła o długonogim, szczupłym, niebieskookim i bogatym księciu, coś jak krzyżówka Alaina Delona z Onassisem. Ciemny i krótkonogi Gibon w ogóle jej nie odpowiadał. Na Petra i górę miała Ivana niezwykle widok. Olbrzymie pasmo górskie wyrzucone z równiny wprost na jasne nocne niebo, biały krąg księżycy raz po raz zakrywały obłoki, a na pierwszym planie stał Peter. Przed wielkimi górami wyglądał groźnie. Długo, bardzo długo spoglądał na Branisko, aż zaczęły mu się w głowie przedstawiać zarysy snów, które trapiły go przez ostatnie tygodnie. Zaryczał. Zupełnie nie wiedział dlaczego.

Zamknął oczy i zaczęły mu się ukazywać jeden sen za drugim. Widział, jak droga, którą przyszli, rozsypała się w proch, Spiski Gród zupełnie zniszczał, a jego wzgórza porosły dębem i jodłą. Widział, jak biali ludzie umierają na nieznane choroby, a dolina między Popradem a Braniskiem cała pokryta jest wspaniałymi dębowo-jodłowo-bukowymi lasami. Widział powrót wilków i niedźwiedzi i zardzewiałe kolejki w Tatrach oraz ich rozpad na czerwony pył. Widział zasypany tunel pod Braniskiem, zniszczoną wieżę nadawczą na górze i wszędzie mnóstwo zwierząt i pięknych roślin.

Widział siebie, jak prowadzi grupę uśmiechniętych śniadych ludzi między ogromnymi jodłami.

Zaczęło padać, ale Peter stał w deszczu na górze i zrzucił z siebie koszulę. Ivana ze strachu zatrzaskała okno.

Tej nocy Peter całkowicie o niej zapomniał.

Geny dzikości przeżyły. Powrót *homo sapiens neanderthalis* rozpoczął się.

Juraj Lukáč

Tłumaczenie: Karolina Bielenin

PS. Podobieństwo bohaterów opowiadania do osób żywych i martwych jest przypadkowe.

1. *Homo sapiens* - ludzie z nizin i ciepłego klimatu. *Homo sapiens neanderthalensis* - ludzie, którzy posiadli zdolność przeżycia kilku okresów zlodowaceń, protoneandertalczyk - niezwykle duża czaszka (większa niż dziś), klasyczny, ekstremalny neandertalczyk - wyspecjalizowany do życia na lodowcach.

2. W tym fragmencie tekstu Spiski Gród = Sir, Tatry = Tar, Branisko = Bor, Poprad = Por.